

Od autora: Witam.

Powstała sobie taka oto historia Universum Z. Ciekaw jestem, co o niej myślicie. Z góry dziękuję za poświęcony czas i komentarz. Dzięki.

Z Universum

Dzielnica Zalesie 15 kilometrów od Centrum miasta.

- Po pierwsze, broń Borze nie strzelamy. Choćby nie wiem, co, żaden z nas nie ma prawa użyć broni...

- To, po, co ją bierzemy? – Andrzej wykrzywia twarz w pytającym grymasie, rozkładając przy tym bezradnie ręce.

- Andrzejku, nie udawaj głupszego niż jesteś – odpowiadam, kiwając z niedowierzaniem głową.

Andrzej jest czasami niemożliwy. Mimo, iż znamy się od podstawówki, czasami jak coś palnie, odnoszę wrażenie, że mam do czynienia z idiotą. Z drugiej strony, dołączył do nas w ostatniej chwili, więc obawy ma prawo mieć.

Eryk spojrział na naszego wspólnego kumpla. Przygryzł dolną wargę, przez chwilę sprawiając wrażenie człowieka zamyślonego - Pomyśl! – zaczął - Mamy ich w razie czego przestraszyć, a nie pozabijać. To ma być napad, a nie morderstwo. Wiążemy, kneblujemy, zawijamy hajs i spadamy. Nie potrzebne nam żadne gówno związane z zabójstwem.

Eryk Galiński, pseudonim „Cerber” jest moim najlepszym kumplem. Czasami w swoim życiu mamy szczęście spotkać kogoś, z kim rozumiemy się bez słów i tak właśnie jest w naszym przypadku. To, co ja pomyślę, Eryk mówi i na odwrót.

- Ja pierdolę, już nie róbcie ze mnie głupka, a z siebie Bóg wie, kogo. Przecież wiem, że w razie ewentualnej lipy lepiej odpowiadać za napad, niż za napad i głowę. Bardziej chodzi mi o sytuację, w której wszystko w mgnieniu oka wymyka się nam spod kontroli. Dla przykładu, wchodzimy, ogarniamy ojca, matkę, syna, a tu bach, akurat jest u nich ktoś z dalekiej lub bliskiej rodziny, albo znajomy, obojętnie. Gość kuma, co się dzieje, a że ma pozwolenie na broń, rusza w naszą stronę z Glockiem, Waltherem, Makarovem, czy chuj tam wie, czym. I co wtedy?

Tu Andrzejek trzeba przyznać błysnął nieszablonowością, aczkolwiek nie do końca. Ponieważ nie po to przez ostatnie dwa tygodnie obserwujemy rodzinę Graczyków, aby zostać zaskoczonym przez kogoś postronnego. Obojętne, przyjezdny, znajomy, wuj, teść, szwagier, obojętne. W czasie skoku, nie ma prawa być w domu nikogo prócz gospodarzy.

Tłumaczę, więc koleżce cel i sens prowadzonej przez ostatnie dni obserwacji.

- Okej, rozumiem – przyjmuje do wiadomości Andrzejek, po czym stwierdza:

- Nie wiem jak wy, ale ja w razie bezpośredniego zagrożenia życia załatwię ich.

- Ustalmy, że zrobimy wszystko by do takiego właśnie bezpośredniego zagrożenia życia nie doszło. Jeżeli wszystko pójdzie zgodnie z planem, najdłużej zejdzie się nam za zapelnianiu toreb hajsem.

Na dźwięk słów „zapelnianiu toreb hajsem”, twarze kumpli wyraźnie się rozpogadzają.

- No widzicie jak flota łagodzi obyczaje – śmieję się.

Dwie godziny później w pełni zwarci i gotowi, wysiadamy z zaparkowanego na ulicy Madejskiej samochodu marki ford fiesta. Wspomniana powyżej ulica, a w zasadzie uliczka Madejska, oddalona jest dwie ulice od naszego celu, jakim jest z kolei ulica Zacna.

Fioletowa fiesta, pieszczotliwie przez nas nazywana strzałą, napędzana jest litrowym turbodoładowanym silnikiem. Co prawda do brawurowych ucieczek się nie nadaje, lecz jest za to niepozornym, absolutnie nierzucającym się w oczy pojazdem. Miejsce postoju na wspomnianej powyżej ulicy Madejskiej jest doskonale przemyślane. To dyskretna miejscówka tuż pod lasem. Nikt nas nie widzi, nikt nie słyszy, nikt nie zwraca uwagi. Większość posesji jest w trakcie budowy, zaznaczam, że znajdujemy się w dopiero budowanej części luksusowego osiedla Zalesie.

Idę przodem, za mną idzie Eryk i na końcu Andrzejek. Czy się denerwuję? Oczywiście, że się denerwuję. Kto przy zdrowych zmysłach by się nie denerwował. Chyba tylko wariat, nieposiadający za grosz instynktu samozachowawczego.

Plan skoku na willę Graczyków opracowywaliśmy w najmniejszych szczegółach od dwóch miesięcy.

Prócz naszej trójki, zamieszany, czy może lepiej, zaangażowany w napad jest jeszcze Pawcio Komputer. Komputer, to rzecz jasna jego ksywa. Pawcio jest kotem, jeżeli chodzi o wszelkie sprawy informatyczno-elektroniczne. Nie znam się na szczegółach wirtualnego świata, dlatego nie będę się w nie wdawał. Wiem tylko, że nasz Komputer ma się zająć monitoringiem i alarmami na posesji Graczyków. Tyle mi w zupełności wystarcza.

Pawcio, odkąd pamiętam non-stop siedział przy laptopie, a że pochodził z mega patologicznej rodziny, przez pierwsze lata życia, jego elektroniczna pasja musiała być w znacznym stopniu uśpiona. Ten, którego zmylił wygląd Pawcia, nie raz nadział się na jego precyzyjnie bity prawy prosty. Wrodzona wada wzroku, zmuszająca do noszenia okularów i drobna budowa ciała, sugerowały cherlawego małolata, podczas gdy Komputer już od najmłodszych lat musiał w domu walczyć, o każdą kromkę chleba, jeżeli oczywiście takowa była. Jeżeli natomiast jej nie było, musiał ją sobie zorganizować. Trzeba w tym miejscu przyznać, że czynił to bardzo skutecznie.

Pierwsze lekcje informatyki w szkole podstawowej, przyczyniły się do spektakularnego rozkwitu jego informatyczno-elektronicznego talentu. Szkoła ufundowała mu stypendium i laptopa, za pomocą, którego w niedługim czasie włamywał się gdzie chciał i jak chciał. Co w tym wszystkim najważniejsze, pozostał cały czas tym samym spoko chłopakiem, lubiącym solidnie przymelanżować, a jak trzeba to i obić niejedną facjatę.

Trochę inaczej koleje losu wyglądały w przypadku Andrzeja Enigmy. Enigma to oczywiście jego ksywa i jest ona nadana nie bez kozery. Takowy obrót spraw, wynika z faktu, iż po Andrzejku nigdy nie wia-

domo, czego się spodziewać.

Andrzejek potrafił wejść między dwie bijące się strony, na siłę ich pogodzić, po czym, gdy wydawało się, że wszystko jest okej, bezlitośnie lał zarówno jednego jak i drugiego, na koniec z wszystkiego okradając.

Enigma zawsze był jak na swój wiek duży, robił wiec, co chciał nawet z chłopakami po dwa - trzy lata starszymi. Andrzejka problem był taki, że aby szanować, musiał się bać. Trochę jak zwierze, niemniej to niezaprzeczalny fakt.

Mnie obawia się od czasu, jak pod koniec siódmej klasy pobiłem się z nim, można by powiedzieć na śmierć i życie. Do czasu wspomnianego incydentu nie kolegowaliśmy się. Andrzejek w tamtym okresie życia z nikim za bardzo się nie przyjaźnił, wszyscy raczej unikali jego towarzystwa niczym diabeł święconej wody. Chodził do równoległej klasy, stąd kontakt mieliśmy wyłącznie na przerwach. Któregoś pięknego razu, Andrzejek przyczepił się do mnie z racji nie przepuszczenia go w kolejce do sklepiku szkolnego. Byłem od niego o głowę niższy i zdecydowanie słabszy, co stawiało mnie z miejsca na pozycji przegranej. Mimo to, nie odpuściłem.

Ostatecznie zostaliśmy rozdzieleni. Trzeba jednak przyznać, że dostałem wtedy solidny łomot. Zamiast jednak się przestraszyć, wpadłem w swego rodzaju szaleńczy amok. Na czym wspomniany amok polegał, wytłumaczę za moment. Zarówno szkolna pielęgniarka jak i cała kadra nauczycielska, włącznie z dyrektorką, nalegały abym opowiedział o zdarzeniu. Jak łatwo wywnioskować, powiedziałem, że przez kogoś zepchnięty, spadłem ze schodów, ot wszystko w tym temacie.

- Tadeu nie kłam – powtarzały kolejno wszystkie nauczycielki z wice dyrektorką, a nawet samą dyrektorką na czele.

- Nie kłamię – odpowiadałem, idąc w zaparte.

Dostałem zwolnienie z dalszych lekcji i niezwłocznie odesłany zostałem do domu.

Mimo porażki udało mi się rozbić Andrzejkowi nos, co wprawilo go w nie małe zdumienie, natomiast mi dało ogromną satysfakcję. Chyba po raz pierwszy w życiu dostał wtedy w pysk.

Do domu nie poszedłem, to znaczy poszedłem, lecz nie od razu. Tu kontrolę nad moim postępowaniem odegrał przytoczony chwilę wcześniej szaleńczy amok. A więc zacząłem się na swego oprawcę, czyniąc to przed wejściem do klatki schodowej rzecz jasna w miejscu jego zamieszkania.

Trzy godziny na niego czekałem, a gdy przyszedł, rzuciłem się na niego z nożem. Andrzejek uciekał przede mną, gdzie pieprz rośnie. Choć tego nigdy nie przyznał i nie przyzna, ewidentnie był przerażony, widziałem to w jego oczach. Gdybym go wtedy dopadł... ciężko powiedzieć, ale chyba bym go zabił.

Następnego dnia odbyliśmy, jak na swoje lata, męską rozmowę, stając się bardzo dobrymi przyjaciółmi. Jak dobrymi? Ano na tyle, by jeden za drugiego poszedł w ogień.

Kompletnym przeciwieństwem Andrzejka był Eryk. Eryk Cerber, bo o nim mowa, był nie dość, że inteligentny, to jeszcze przebiegły, zapobiegawczy i czasami nawet przesadnie ostrożny. Chłopak miał do tego to „coś”. Owe „coś” było darem ofiarowanym mu poniekąd przez samego mitologicznego króla Midasa, a poległo na tym, że czego się nie dotknął, sprawiał, iż były z tego pieniądze.

Wszyscy wiedzieliśmy, że tylko kwestia czasu jest jak Cerber zostanie grubo zarabiającym biznesmenem.

On też to wiedział, dlatego w życiu nie spieszył się absolutnie z niczym. To właśnie Cerber opracował plan zawinięcia miliona złotych z sejfu Graczyka, po tym jak ten, bez zmrużenia oka wyrolował go na miesięczną wypłatę.

- To frajer, to szmata, myśli, że do grobu wszystko zabierze. Świat byłby bez takich pazernych świń piękniejszy. Nie odpuszczę mu – stwierdził, któregoś pięknego dnia, z grubsza nakreślając plan przechwycenia zawartości sejfu byłego pracodawcy.

- Zawsze raz w miesiącu, dokładnie w ostatni piątek, łeb przywozi cały utarg do domu i kitra go w sejfie. Oczywiście, gdyby tylko mógł, wszystko umieszczałby w banku, ale nie może. Pieniądze są, jak to w przypadku większości biznesmenów – dorobkiewiczów, nielegalne i musi stopniowo, na przestrzeni najbliższych trzech tygodni prac je w założonej przez siebie fundacji charytatywnej. Aby nic nie było podejrzanego, fundację prowadzi, a zarazem jest jej właścicielką, przyrodnią siostrą pana biznesmena. Walniemy go w piątek wieczorem z wszystkiego, to się frajer nauczy. Dwie hurtownie. Łeb ma, dwie hurtownie z napojami energetycznymi. Tiry wjeżdżają – wyjeżdżają, a wraz mu mało i ludzi na wypłaty wali.

- A jak otworzymy sejf? Raczej, ot tak, nam go nie otworzy – zapytałem, ciekaw najważniejszego aspektu planowanej akcji.

- To tchórz, mądry tylko wtedy jak kontroluje sytuację, jak coś jest nie po jego myśli, sra w gacie. Myślicie, że, po co otacza się znajomymi policjantami i prawnikami. Świruje nie wiadomo, kogo, a tak naprawdę to pet, oszukujący ludzi, na czym i jak popadnie. Cham nie zna takiego słowa jak konsekwencje, liczy się tylko zysk, a co najciekawsze, uważa, że w razie, czego prawo stanie jeszcze po jego stronie. Uwierzcie mi na słowo, osobiście się nim zajmę, aż nadto dobrze go znam. Ponadto mam coś w zanadrzu.

Na przestrzeni kilku ostatnich tygodni nieprzerwanie planowaliśmy i knuliśmy, knuliśmy i planowaliśmy. W końcu mając plan gotowy od „A” do „Z”, przystąpiliśmy do działania.

Pawcio ogarnął cały monitoring i zabezpieczenia. Mieliśmy całutkie pół godziny na przechwycenie floty frajera.

No, więc działamy. Na posesję wchodzimy od strony lasku, przeskakując przez płot. Tak się szczęśliwie dla nas składa, że najbliższe stojące domy po obu stronach ulicy są puste. Cierpliwie czekają na bogatego nabywcę. Poprzedni właściciele na skutek licznych perypetii oraz perturbacji życiowych zbankrutowali, lądując dosłownie z dnia na dzień na przysłowiowym bruku. Do budynku dostajemy się przez małe okienko w piwnicy.

Piwnica Graczyka pełni rolę siłowni. Trzeba przyznać, wygląda fajnie. Już na pierwszy rzut oka widać, iż tylko wygląda. Wszystkie sprzęty są nieużywanymi, ofoliowanymi nówkami sztukami. Mają siłownię, bo mają, a jak! Kompletnie jednak z niej nie korzystają. Stromymi schodami wchodzimy na górę.

Graczyk siedzi w salonie, przy biurku, ze wzrokiem wlepionym w laptopa. Tuż obok komputera, stoi szklanka z wchiskaczem. Gospodarz stuka w klawiaturę, a następnie uśmiecha się od ucha do ucha.

Nagle słychać dźwięk kroków dochodzący od strony schodów prowadzących na pierwsze piętro. Gospodarz pospiesznie zamyka laptopa i nerwowo się rozgląda, jakby z obawy czy aby nikt go nie zauważył.

Cofamy się w stronę zejścia do piwnicy.

- Wychodzę! Nie wiem, kiedy wrócę! – mówi Marek, siedemnastu letni syn Graczyków, a propos, to właśnie on schodzi z piętra.

- Jak się czuje matka?

- Cały czas leży, ma gorączkę.

- Był Waldek?

- Był. Przepisał antybiotyk i poszedł. Sam wyglądał na ledwo żywego.

- Jak samopoczucie?

- Już mi przeszło, tylko trochę głowa boli, ale to bardziej z nic nieróbstwa.

- Kiedy wrócisz?

- Nie wiem. Wrócę, jak wrócę. Biorę Continentala.

- Tylko zatankuj, a nie tak jak ostatnio...

Rozlega się dźwięk trzaskających drzwi. Znakiem tego, Graczyka juniora najwyraźniej nie interesują wytyczne ojca.

- Rozkapryszony gnój – kwituje rozmowę z synem Graczyk, po czym otwiera laptopa.

Słyszę najpierw ryk sześciu litrowego silnika, a następnie dźwięk zamykającej się bramy.

Nie tracąc czasu przystępujemy do działania.

Eryk zachodzi gospodarza od tyłu, zarzuca mu na szyję gruby sznurek. W tym samym czasie Andrzej łapie go w pól, ściskając z całych sił.

Facet jest przerażony, nawet się nie szarpie, czuć smród moczu.

Eryk wiąże delikwenta, układa go plecami na ziemi, tuż obok biurka, po czym wyjmując z kieszeni kurtki strzykawkę z nieznanego rodzaju specyfikiem.

- Co to? - pytam.

- Serum prawdy – pada odpowiedź.

Już po chwili kilkunastu milimetrowa igła znika w pośladku unieruchomionego delikwenta.

- Za trzy minuty powie nam wszystko. Pora ogarnąć żonkę.

Andrzejek zostaje z naszym zakładnikiem, natomiast ja z Erykiem idziemy na piętro, a konkretnie do pokoju, w którym przebywa żona biznesmena.

Teraz dopiero mam okazję nieco rozejrzeć się po domu. Jak na władowane w jego urządzenie setki tysięcy złotych, nie ma szału. Od razu widać, że pieniądze, a gust, to dwie różne rzeczy.

Salon urządzony jest w typowo klasycystycznym stylu, natomiast na ścianach wiszą reprodukcje Moneta i van Gogha. Trochę się to wszystko ze sobą gryzie.

Korytarz zdobią dwie rzeźby imitujące greckich herosów. Osobiście nie chciałbym tu mieszkać.

Na piętrze znajdują się trzy pokoje, jednak tylko jedne drzwi są otwarte, reszta jest pozamykana na przysłowiowe cztery spusty. Powoli podchodzimy do progu.

Graczykowa leży w łóżku, ledwo oddycha. Pięćdziesięciu calowy telewizor błyska kolorami, rozgłoszony na jedną czwartą swych audio możliwości. Pomieszczenie wypełniają dźwięki wiadomości z kraju i ze świata. Tematem numer jeden jest seria precyzyjnie zaplanowanych i przeprowadzonych ataków terrorystycznych w różnych częściach globu. Nie powiem informacja o trzech zamachach w naszym kraju robi wrażenie. Zasadniczo nie oglądam telewizji wcale. Polityka w ogóle mnie nie interesuje, te ich ciągle zakłamanie przepychanki nudzą do granic możliwości. W tym jednak przypadku, nie powiem, bo po wszystkim zainteresuję się sprawą zamachów. Znając życie, rządzący debile znów gdzieś wysłali wojska rzekomo stabilizacyjne, a w rzeczywistości okupujące dany kraj. Przez chwilę zerkam na ekran.

Kilkadziesiąt osób biega niczym oszalałe, ktoś krzyczy, w oddali padają strzały, tuż przed obiektywem kamery przebiega zakrwawiony nastolatek, w dwóch słowach, niezła jatka. Bardziej przypomina to film science-fiction w klimacie post-apo, niż relację na żywo. Tak czy siak, los nam sprzyja. Kogo w obliczu takich wydarzeń, będzie interesował obrobiony Eugeniusz Graczyk.

W pokoju nie ma niczego, poza wspomnianym telewizorem, łóżkiem i leżącymi na oknie dwiema książkami.

Uwzględniając widzianą do tej pory część domu, panują tu można by powiedzieć spartańskie warunki.

Spoglądam na leżącą kobietę. To, co powiedział małolat, dość mocno odbiega od stanu faktycznego, w jakim jest jego matka. Moim zdaniem gospodyni kwalifikuje się do natychmiastowego przewiezienia i umieszczenia w szpitalu. Błada niczym ściana, wydaje się być nieprzytomna. Cerber na wszelki wypadek, robi jej zastrzyk ze swojego serum zapomnienia, prawdy czy jak tam zwał.

- To wystarczy? – pytam.

- W zupełności. Będzie miała odlot jak po heroinie.

- Nie wiążemy jej?

- Nie ma potrzeby. Przytomność odzyska jutro koło siódmej rano, nic nie będzie pamiętała.

Po szybkim zabiegu iniekcji, czym prędzej schodzimy na dół.

Widząc kolejne razy wymierzone Graczykowi przez Andrzeja, natychmiast do niego doskakuję.

- Zwariowałeś? Co robisz? – pytam nie na żarty wkurzony. Rozumiem, że jak trzeba kogoś przycisnąć, to trzeba, niemniej musi być jakiś powód. Nie toleruję bicia dla samego bicia. Nie kręci mnie znęcanie.

- Ty wiesz, co ten frajer robił na laptopie? Podawał się za trzynastoletniego chłopca

Gospodarz w tym czasie zalany krwią i łzami prosi o litość – To nie tak, to nie tak – powtarza - Proszę, to on sam do mnie napisał. My... my tylko tak sobie żartujemy.

- Podaj cyfry do sejfu – mówi Eryk.

- Podam, tylko muszę sobie przypomnieć.

- Cyfry, to może przeżyjesz.

- Pięć, sześć, pięć, sześć, sześć, jeden. Obiecuję, że będę grzeczny, tylko nie bijcie.

- Milcz psie – syczy przez zaciśnięte zęby Andrzej, wymierzając kolejne uderzenie w twarz delikwenta.

Eryk podchodzi do wiszącej na ścianie jednej z reprodukcji Van Gogha, a propos „Taras kawiarni w nocy” i zdejmuje niezłą kopię oryginału.

Naszym oczom ukazuje się sejf. Kilkanaście sekund później, zawartość domowego skarbcza, zapelniona kupą zadrukowanych papierków, prezentuje się nam w całej swej okazałości.

- Dobra, gotowe, zawijamy – krzyczy Eryk, ładując pierwsze pliki pieniędzy do torby.

Biorę swoją torbę i ruszam w stronę sejfu, to samo robi Andrzej.

- A, na co wydacie pieniądze? – pyta Eugeniusz, sprawiając wrażenie odciętego od rzeczywistości człowieka. Andrzejek niezłe go urządził. Twarz gościa kwalifikuje się do założenia, co najmniej kilkunastu szwów. Chociażby lewy łuk brwiowy, czy rozbity paskudnie nos. Szczególnie w pierwszym z wymienionych przypadków, bez interwencji chirurga zapewne się nie obejdzie.

- Ale go wywaliło – stwierdzam niezaprzeczalny fakt. Eryk w odpowiedzi tylko uśmiecha się pod nosem.

- Weźmiecie mnie ze sobą? Proszę, mam już dość mieszkania tutaj. Żona mnie zdradza, z tym durniem księgowym. Skurwysyn, wiedziałem, że te jego telefoniki, to w jakimś celu były. Pani Grażynko to, pani Grażynko tamto, i w końcu pani Grażynka podwiozła faktury, a przy okazji obciągnęła. Wiem o tym. Spotykają się potajemnie, głupi babsztyl. To jednak jeszcze nic. Kurwa, panowie, nawet nie wiecie jak mi z tego powodu przykro. Serce mi pęka, o tak, na pół. Nawet nie wiecie... Ja przepraszam, ale muszę... Po prostu muszę komuś to powiedzieć, otóż, otóż mój syn jest gejem. Gejem i to jeszcze z tego, co zrozumiałem z sms-uw, biernym gejem. Rozumiecie panowie? Rozumiecie mnie? – gość zaczyna płakać. To mu się zebrało na gorzkie żale. Trzeba go było lepiej uśpić.

- Zamknij mordę, bo cię zaknebluje – syczy przez zaciśnięte zęby Eryk.

- Przepraszam już nie będę. Zrozumcie jednak zranionego w samo serce ojca. Nie mam nic przeciwko gejom, ale dlaczego akurat mój syn? Dlaczego? Przecież u nas w rodzinie nigdy tego nie było – głos dorobkiewicza jest płaczliwy, żenujący.

- Nie przesadzaj. Nigdy nie jest tak źle, aby nie mogło być gorzej – niespodziewanie odzywa się Andrzejek. Co mnie dziwi, to barwa jego głosu. Mianowicie jak najbardziej spokojna, wręcz miła.

- Mógł zostać Drag Quinnem. Albo męską prostytutką.

Głoszone przez Andrzeja słowa, które z założenia mają być chyba pocieszającymi, z całą pewnością takimi nie są, ponadto nijak nie przeszkadzają mu pakować do torby kolejnych grubych plików pieniędzy. Graczyk tymczasem z płaczu, przechodzi w tryb zawodzenia.

- Chociaż nie, męska kurwa, to chyba taki, co go kobiety mogą na godziny wynająć, no nie? – Nasz kumpel przez chwilę przerywa wkładanie kolejnych plików pieniędzy do torby, jednocześnie zamyślając się. Błędne oczy odzwierciedlają umysłowe tsunami Andrzejka.

- No tak – nieprzerwanie dedukuje, niczym w transie – Skoro męska prostytutka to taka...

- A nie raczej, taki? – pytam ot tak, bardziej dla zabawy, nieprzerwanie wkładając łup do torby. Obecnie są to nominały po dwieście złotych.

- A tak, taki. Skoro męska dziwka to taki dzolero, co to do kobiet na telefon jeździ. To jak nazwać takiego, co się z chłopami za pieniądze luftuje?

- A, co to za różnica? – rzuca od niechcienia Ernest.

- Co ty gadasz? Pierdolisz jak potłuczony. Jak to, co to za różnica? Zajrzeć w szuwary dziewczynie, a... no, ten tego.... – Enigma przerywa, jakby mu nagle słów zabrakło.

- Co ten tego? No wyduś z siebie. Obciągnąć? Zrobić laskę? No dobra, bez wulgaryzmów, zrobić dobrze. A, co to za różnica, blać na telefon, to blać na telefon.

- Zasadnicza różnica. A zresztą spierdalaj, nie gadam z wami na takie tematy – Andrzejek macha rękoma i pospiesznie przystępuje do ponownego pakowania łupu do torby.

Za ostatnim rzędem pieniędzy, znajduje się małe pudełeczko. Wyjmuję je. Nijak jednak nie jestem w stanie go otworzyć.

- Nie siłuj się, zawijaj, otworzymy przy podziale.

- Nie - nie. Coś z tym jest nie tak – spoglądam na Graczyka, następnie pokazuje mu pudełeczko, pytając:

- Co to jest?

- A to jest GPS. Weźmiecie i już po was, namierzą was wszędzie. Nie działają żadne lodówki, znaczy niskie temperatury, folie aluminiowe, czy nawet zakłócacze. Idealne urządzenie lokalizujące.

W tej chwili, dociera do naszych uszu odgłos stawianych kolejno kroków. Dobiegają od strony schodów, ewidentnie ktoś idzie w naszą stronę. Wszyscy, niczym na komendę, zamieramy w bezruchu.

- Słyszycie? Co to? – szepcze Cerber.

Wzruszam ramionami, identycznie to samo robi Enigma.

- Sprawdziliście wszystkie pokoje?

Kiwam głową w odpowiedzi, następnie kieruję wzrok w stronę z której dochodzą kroki.

Zza rogu wychodzi Grażyna Graczykowa. Idzie powoli, żeby nie powiedzieć ociężale. Zmierzwiłone włosy zasłaniają jej twarz. Wygnieciona piżama wygląda niczym wyjęta psu z gardła.

Andrzej zachodzi ją od jednej, ja natomiast od drugiej strony. Eryk zostaje przy sejfie, nieprzerwanie obserwując poczynania pani domu.

Kobieta tym czasem, zdaje się nas nie dostrzegać, idzie bezpośrednio w stronę męża, mruczając coś pod nosem.

Nie mam pojęcia, co robić. Andrzej zdezorientowany patrzy to na mnie, to na Eryka. Cerber nerwowo przetyka ślinę. Kobieta przyspiesza kroku, wyciągając przed siebie ręce.

- Co się dzieje? – pyta, miłutkim głosem, aby nie powiedzieć głosikiem naćpany do granic możliwości Graczyk.

Druga połowa w tym czasie dopada męża, chwyta go za wymiętą, domową koszulkę i natychmiast wgryza się w szyję ofiary. Tryska krew, facet na zmianę, to charczy, to rzezi. W dzikim szale wynikającym z przerażenia, rozrywa krępującą ruchy rąk taśmę klejącą i rozpostartymi rękoma zdaje się walczyć z wyimaginowanymi omanami wzrokowymi. Para szamocze się non - stop zmieniając położenie.

Kobieta nie odpuszcza, morduje męża bez opamiętania i skrupułów, czyniąc to na naszych oczach.

Po czym, zaczyna najnormalniej w świecie jeść jego ciało. Na podłodze formuje się coraz większa kałuża czerwonej posoki.

Andrzej obserwuje całą scenę z rozwartymi ustami, Eryk to samo. Ja dla odmiany nerwowo przetykam ślinę. Widzę pojawiające się przed oczami setki jaskrawo migających punkcików.

Eryk odwraca się w stronę sejfu, bierze kilka ostatnich plików pieniędzy i mówi – Spierdalamy.

Dwa razy nie trzeba nam powtarzać. Wraz z Andrzejem chwytny swoje torby i szybkim krokiem ruszamy w stronę schodów prowadzących do piwnicy. Miejsce, w którym Grażyna uśmierciła męża, mijamy szerokim łukiem.

Idę drugi, tuż za Erykiem, na końcu podąża Andrzejek.

- Pawelek odzywał się? – pytam Eryka.

- Nie.

Nagle słychać kolejne serie szybko stawianych kroków.

- Kuźwa biegnie za nami! – krzyczy Andrzej.

Ma rację, kobieta pędzi w naszą stronę.

Wbiegamy do piwnicy, ostatni zamyka za sobą drzwi. Nie mija kilka sekund, jak słychać szaleńcze wale-

nie w nie pięścią.

- Coś ty jej dał? Jak nic zwariowała.

- Dostała to samo, co on. To nie przez specyfik. Może brała coś, co weszło w niepożądaną reakcję z moim serum. Mniejsza z tym, spadajmy stąd jak najszybciej.

Przez małe piwniczne okienko, te same, dzięki któremu weszliśmy do budynku, wydostajemy się na zewnątrz.

Przecinamy podwórko z dużym skalnikiem na środku. Przechodzimy przez płot, szybkim krokiem idąc w stronę zaparkowanego kilkaset metrów dalej samochodu.

Powietrze jest chłodne, rześkie, za sprawą emocji wydaje się mieć z lekka duszący zapach. Przez moment świat staje się czarno biały. Dwukrotnie mrugam oczami. Ewidentny nadmiar emocji daje o sobie znać. Przez chwilę czuję potworny zapach zgnilizny.

Słysząc dochodzące z oddali odgłosy pojazdów uprzywilejowanych. Głos syren, zdaje się docierać, z każdej strony.

- Co się do diabła dzieje? Chyba nie robią na nas obławy?

- Jakby coś było nie tak, Pawcio dałby nam znać. Poza tym, tu, na miejscu, coś by się działo.

Wsiadamy do auta. Zapuszczam silnik, od razu wrzucając pierwszy bieg.

- Co w nią wstąpiło? Na moje zajebała go – stwierdza Eryk, przecierając dłonią twarz.

- Na moje też – dodaje Andrzej, wysmarkując nos w jednorazową chusteczkę.

Wyjeżdżamy na jedną z leśnych dróg. Celowo wybieram tę wąską, mało uczęszczaną.

- Pawcio pisze, aby się jak najszybciej zrywać – obwieszcza nerwowym głosem Cerber, następnie zaczyna niepewnie wyglądać przez szyby fiesty.

- Dzwon do niego, nich gada, co się dzieje.

- Dzwonię, ale nie odbiera.

- Dzwon do skutku.

- Przecież to robię.

Nagle ni stąd ni zowąd Andrzej zaczyna wymiotować.

- No rzesz w mordę, nie mogłeś na zewnątrz?! – krzyczy wściekły Eryk.

Kumpel targany kolejnymi skurczami żołądka, nie może odpowiedzieć.

- Zatrzymaj się! Jak tak dalej pójdzie utoniemy w rzygach! Kto to będzie sprzątał?

Hamuję. Auto staje dęba, Andrzej niemalże wypada z niego, wysiadamy.

- Stres – stwierdza Eryk, patrząc na rzygającego w najlepsze Andrzeja.

Dziwi mnie reakcja organizmu kumpla. Znam go dobrze, byłem świadkiem może nie tyle bardziej, co równie stresujących sytuacji, w których uczestniczył i zawsze spływało to po nim jak po przysłowiowej kacze. Nie wiem, co odpowiedzieć. Milczę, wruszając tylko ramionami.

Nagle Andrzej unosi twarz. Jest ciemno, nie widzę jego oczu, dostrzegam jedynie ledwo nakreślone kontury twarzy przyjaciela.

Enigma prostuje się, po czym zupełnie bez zdania racji rzuca się na stojącego bliżej Eryka.

- Co robisz!?! Zgłupiałeś? – krzyczy Eryk.

Podbiegam do Andrzeja, zakładam mu chwyt potocznie zwany „nelsonem” tym samym z całych sił próbując odciągnąć go od Eryka, co mi się ostatecznie udaje.

- Kurwa! Pojebało go! Ugryzł mnie!

Enigma jest nie do utrzymania, puszczam go, odskakując do tyłu. Niczym dziczące zwierze, znów rzuca się w stronę Eryka, który zaczyna uciekać wokół auta.

Przyglądam się całemu zajściu z szeroko rozwartymi oczami – Co jest? – zadaję w myślach pytanie.

W końcu Eryk wyjmuje broń i kierując ją w stronę Andrzeja krzyczy – Jeszcze krok i cię rozwalę!

Andrzejek ma to gdzieś, biegnie niczym dzikie, opętane chęcią mordy zwierze.

Padają dwa strzały, Enigma upada na ziemię z roztrzaskaną czaszką.

- Coś ty zrobił!?! – krzyczę, nie dowierając.

- Widziałeś!?! Chciał mnie zabić!

Chowam twarz w dłoniach – Nie wiem, autentycznie nie wiem, co robić.

- Zawijamy go do bagażnika i spadamy! – krzyczy Eryk, a następnie podbiega do tylnej klapy auta i ją otwiera.

Niemo podchodzę do zwłok współnika. Eryk chwytą go za obie nogi - Rusz się i pomóż – instruuje.

Biorę dłonie kolegi, następnie unosimy ciało do góry.

- Weź się w garść! Ogarnij się – nalega Eryk, sprawiając wrażenie niewzruszonego obrotem spraw. Czyżby to przewidział? Brał pod uwagę? Diabli go wiedzą.

Jestem jakby w letargu, sytuacja przerosła mnie, kręci mi się w głowie. Nagle cały świat dookoła nabiera niesamowicie jaskrawych barw. Staje się widno niczym w samo południe. Wypuszczam trzymane w dłoniach ręce martwego kolegi. Ciało głucho uderza o piaszczystą nawierzchnię.

- Co robisz!?

Głos przyjaciela to się oddala, to przybliża. Czuję w ustach gorzki smak zgniłego owocu, żołądek podchodzi mi do gardła. Nijak nie mogąc się powstrzymać, wymiotuję. Skurwysyn chyba nas otruł, ale kiedy? I jak?

Kolejne fale piekielnie nieprzyjemnych konwulsji wstrząsają moim ciałem. Nie mam pojęcia, gdzie jestem, ani co się dzieje. Na wszystko opada kurtyna ciemności i błędnego zapomnienia, spadam w otchłań. Błogostan nie trwa długo, momentalnie zastąpiony zostaje bardzo intensywnym rodzajem głodu. Nie czuję nic poza głodem.

- Nie! Nie!- Słyszę docierający jakby z oddali głos przyjaciela. Wszystko traci sens, stając się nieistotne. Pragnę jednego, mianowicie zaspokoić głód, tylko zaspokoić głód, nic więcej. Metaliczny smak krwi i ludzkiego mięsa jest boski, wspaniały zyciodajny. Świat jawi się w pięknym odcieniu czerwieni.

Przyjemne ciepło zalewa całe ciało. Nie czuję bólu, nie czuję zmęczenia, czuję za to przyjemne mrowienie na całym ciele, tylko to się liczy. Zmysł smaku wariuje, wybucha naprzemiennie to słodyczą, to cierpką kwasotą. Wszelkie kolory, w jakich jawi mi się otoczenie, błyskają, będąc maksymalnie nasyconymi. Dźwięki stają się czyste, nic nie jest w stanie ich zagłuszyć. Kolory, smaki, dźwięki, wszystko się miesza - przenikając. Zielony, niczym kiwi szum lasu, delikatnie zabarwiona na czerwono biel księżycy o smaku zimnej-cierpkiej krwi. Chcę się w tym uczuciu pławić, nieprzerwanie nurzać.

Dopadam ofiarę, zatapiając w niej zęby. Jest Bosko, cudownie. Popadam w swego rodzaju obłąd, odnoszę wrażenie rozpadania się na atomy. Tracę kontakt z otaczającym światem.

Koniec.

Link do wersji audio MysteryTV:

<https://www.youtube.com/watch?v=MagzLkys7N8&t=1869s>

Kopiowanie tekstów, obrazów i wszelkiej twórczości użytkowników portalu bez ich zgody jest stanowczo zabronione. (Ustawa o prawie autorskim i prawach pokrewnych, Dz.U. 1994 nr 24 poz. 83 z dnia 4 lutego 1994r.).

G.G, dodano 09.10.2020 13:05

Dokument został wygenerowany przez www.portal-pisarski.pl.